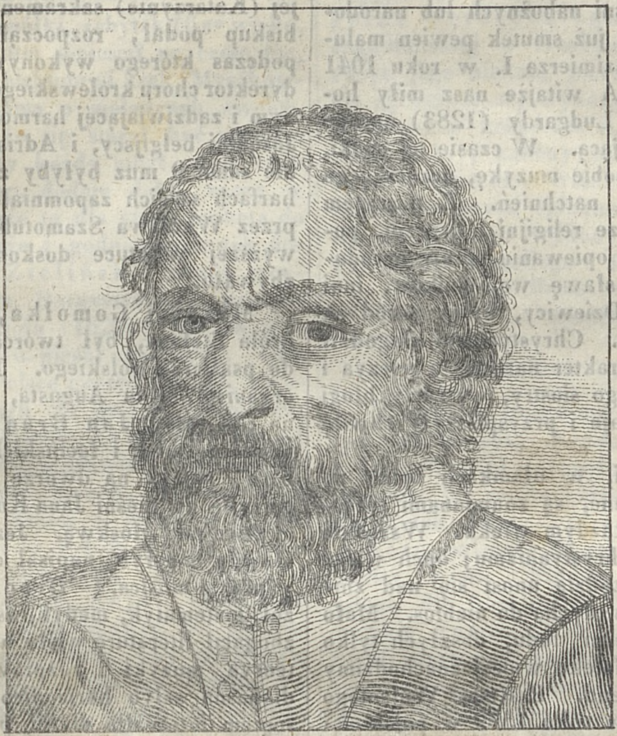
Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 42.** Leszno, dnia 21. Kwietnia 1838.



Marcin Lwowczyk.

Muzyk nadworny Zygmunta Augusta (ur. 1540 † 1589.)

Kilka słów o muzyce kościelnéj i narodowéj w Polsce.

Z daru muzyki umysł równowagę trzyma,
I ani się zbyt płaszczy, ani zbyt nadyma.
Jeśli się w sercu radość odezwie burzliwa,
Łagodny dźwięk muzyki na ulgę przybywa;
Gdy zaś dusza drętwieje pod nieszczęścia ciosem,
Muzyka cudotwórczym orzeźwia ją głosem.
Ona piersi rycerza do boju zagrzewa,
I na dręczonych ranę swój balsam rozlewa.
Dla niéj to smutek wypogadza skronie,
Dla niéj się Morfej rad ze snu ocuca,
Lenistwo wyciąga dłonie,
A zazdrość węże porzuca.
Zażarte braci zbliżają się serca,
I miecz swój ostry opuszcza morderca.

Lecz gdy wezwie do boju narodowa chwała,
O jak na dźwięk Marsowy każde serce pała!
Tak pierwszy korab, kiedy krajał morskie tonie,
Boski Orfej na sztabie śpiewał rym wspaniały,
Wzruszone jodły na Pelionie|
Zewsząd do morza zbiegały.
Zachwyceni do koła słuchali rycerze,
A zapalając dusze ku sławie, dźwięk błogi
Ludzi zamieniał w pół-bogi.
Podnieśli siedmioskórne na barkach puklerze,
Na półdobyte miecze błyskały w ich dłoni
A nieba, morze i skały,
Radośnym okrzykiem brzmiały:
Do broni, bracia, do broni!

Popego Oda do muzyki,
tłum. Kruszyńskiego.

Z pomiędzy narodów słowiańskich Polacy pierwsi zapalili jasną nauk pochodnię. Bitni i pracujący w roli od początku, mało czuli do sztuk popędu; lecz za wprowadzeniem chrześciaństwa, duch poetycki budzić się zaczął i muzyka swój wzięła początek. W 10tym wieku ułożył Ś. Wojciech, naprzód pragski, potém, jak utrzymują, gnieźnieński biskup, pieśń dla wojska walczącego z Pomorzanami i pogańskimi Prusakami. Hymn ten długo był śpiewanym przez wojowników, i dziś jeszcze brzmi codziennie przy grobie twórcy swego w Gnieźnie. Kronikarze polscy, nie zgadzają się na czas, w którym pieśń ta miała być napisaną; zdaje się być zabytkiem z 10tego wieku, lubo w późniejszym czasie nieco zmienionym. Język jego jest starosłowiański,

więcéj do czeskiego, niż do polskiego podobny: rytm muzyki nieregularny, a może i wiekiem skażony. Jakkolwiek bądź, pierwszy ten początek sztuki muzycznéj zawsze jest bardzo ważny.

Uczony Gerber przypisuje Ś. Wojciechowi inny psalm jeszcze, lecz ten z 12go wieku być się zdaje. Nieco późniéj świetne zdarzenia narodu były treścią pieśni nabożnych lub narodowych, jużto wesołość, już smutek pewien malujących: tak witano Kazimierza I. w roku 1041 wesołym śpiewem: „A witajże nasz miły hospodynie"; na śmierć Ludgardy (1283) nucono pieśń smętną i poruszającą. W czasie téj epoki, gdy lud sam układał sobie muzykę, uczucia jego były wtedy ogniskiem natchnień. Z postępem sztuki powstali wieszcze religijni i liryczni, poświęcający swój talent opiewaniu spraw narodowych: jedni głosili sławę wojowników, inni wzywali Najświętszéj Dziewicy, którą naród za opiekunkę swoją obrał. Chrystyanizm złagodził surowy i wojenny charakter narodu, a poezya i muzyka, niedostępne jego siostry, wywarły błogi wpływ na jego obyczaje i przyspieszyły chwilę prawdziwéj oświaty.

Pierwotne te pieśni, w ułamkach tylko po kronikarzach znajdywane, są znamionami szczególnego charakteru w każdym wieku. Wszędzie widać wielki wpływ chrystyanizmu; duch wziął kierunek nabożny, wszędzie unosi się nad znikomy świata poziom i wzdycha do niebios. Mało mamy z téj epoki pieśni ludu, doszłych tylko przez podanie; lecz daleko więcéj znachodzimy psalmów, litanij i kolend. Psałterz Walentego **Wróbla**, ogłoszony w roku 1539 w polskim i łacińskim języku, stanowi pierwszą epokę muzyki religijnéj w Polsce. Wierni zgromadzali się po świątyniach, aby błagać i wychwalać Boga: kapłan śpiewał głośno litanie, a lud pobożny odpowiadał u stopni ołtarzy temi ważnemi, wzruszającemi, całe źródło pociech naszych stanowiącemi słowy: „Zmiłuj się nad nami."

Trudno znaleść co tak uroczystego, jak wrażenie, które sprawiają na słuchaczu połączone głosy ludu w świątyni: harmonia, z całą swoją potęgą przenikającą, nie działa tak dzielnie na umysły i nie unosi tak skutecznie do najwyższéj istoty. Muzyka winna bardzo wiele kościołowi katolickiemu, gdyż wprowadzony zwyczaj śpiewania mszy ś. otworzył nowe pole do popisywania się twórczym talentom. Uroczysty głos organów zdaje się, że jest echem modlących się niebieskich zastępów; instrument ten zdaje się być narzędziem boskiego głosu na ziemi.

Wiek 16sty był dla Polski wiekiem złotym nauk, kunsztów i literatury: uświetniła go wielka liczba uczonych; filozofowie, matematycy, mówcy, poeci i muzycy walczyli z sobą o pierwszeństwo. Pomiędzy muzykami odznaczył się naprzód: **Jakób Lubelczyk**, tłumacz psałterza Dawidowego, przeto i muzyk; **Walenty Brzozowski** (z Brzozowa) † w roku 1570, wydał wiele pieśni nabożnych w Toruniu 1551—1553. **Wacław Szamotulski**, dyrektor muzyki na dworze króla Augusta, był nietylko wielkim muzykiem, lecz także i biegłym w filozofii i matematyce. Wiele pieśni nabożnych i muzyka do **trenów Jeremiasza**, zjednały mu sławę niepośledniego kompozytora. Orzechowski tak o nim mówi: „I gdy jéj (Katarzynie) sakrament Chrystusa Pana arcybiskup podał, rozpoczął się obchód weselny, podczas którego wykonywał Jan Wirbkowski, dyrektor choru królewskiego, koncert z tak wdzięcznym i zadziwiającéj harmonii śpiewem, że nietylko Josquini belgijscy, i Adriani francuzcy śpiewacy, ale same 9 muz byłyby zamilkły i o lutniach i harfach swoich zapomniały. Śpiew ułożony był przez Wacława Szamotulskiego, któremu do najwyższéj w sztuce doskonałości tylko na głosie zbywało."

Mikołaj Gomołka, żyjący za panowania króla Stefana, był twórcą muzyki przewybornéj do psałterza polskiego. **Marcin ze Lwowa**, organista króla Augusta, ułożył pieśni nabożne na rok cały; **Jan Brandt**, Jezuita, pisał wiele pieśni polskich i łacińskich. **Krzysztof Klabon**, muzyk na dworze króla Stefana, dorobił muzykę do pieśni Jana Kochanowskiego na zwycięztwo nad Moskwą. Jezuita Zygmunt Lauxmin, sławny historyk, napisał dziełko o muzyce: „Ars et praxis musica." **Brocki**, czyli Brosiusz, filozof, matematyk, medyk, astronom, poeta i muzyk, zbogacił literaturę wielu ważnemi dziełami. Jego teorya muzyki i rozprawa pod napisem: „An diapason salvo harmonico concentu per aequalia septem intervalla dividi possit vel non," zasługują na uwagę. **Marcinowi Kromerowi**, biskupowi warmińskiemu, winniśmy kilka dzieł teoretycznych o muzyce, a pomiędzy innémi: „De concentibus musices, quos chorales appellamus" i „Musica figurata," wydrukowane wraz z dziełkiem Sebastyana z Fulsztyna: „Opusculum musices noviter congestum" w Krakowie 1534. **Grzegorz Liban** z Lignicy, napisał pochwałę muzyki (de musices laudibus oratio) i wydał w tymże prawie czasie w Krakowie 1540 r. Obok tych teoretyków i kompozytorów wspomnieć należy **Jana Kochanowskiego**, pierwszego pomiędzy poetami lirycznymi i twórcami dotąd używanych pieśni nabożnych. Przy żywéj i bujnéj wyobraźni, lubiący spokojne życie, przeniósł zacisze domowe nad przyjemności i zaszczyty dworskiego życia. Jemu winniśmy piękne tłumaczenie psalmów Dawida i tren Jeremiasza, które pomiędzy ludem rozpowszechnionemi zostały. Tobiasz ze Sandomierza, sławny czasu swego śpiewak, śpiewał je w kościele w dni uroczyste. Mało dzieł poetów dawniejszych trafiało tak do serca, jak pienia Kochanowskiego: geniusz jego okazuje się najcelniéj w poezyi lirycznéj: wiersze jego zalecają się wdziękiem i naturalnością, jemu samemu właściwą. Treny na śmierć córki Urszuli, napisane są z przenikającém uczuciem boleści; każdy wy-

raz jest łzą pochodzącą z serca i trafiącą do niego. Pienia Kochanowskiego nabożne nietylko od Katolików, ale i od innych wyznań są powtarzane. Piękny psalm: „Kto się w opiekę poda Panu swemu" jest prześliczną modlitwą, umie go każdy nieledwie na pamięć, a muzykę dorobiono do niego po kilka razy.

Dzieło Mikołaja Gomółki, zabytek 16go wieku, wielkiéj jest wagi. Autor umieścił na czele list, ofiarujący pracę swoją biskupowi krak. Myszkowskiemu, potém epigramma o melodyach swoich. W dedykacyi pisze, że się starał być prostym i łatwym, dlatego, aby każdy mógł pieśni tych używać; a jeśli biskup, dodaje daléj, raczy je przyjąć łaskawie, będzie to dla niego zachętą do utworów lepszych, może i godniejszych tak dostojnego opiekuna. — Zieliński, muzyk arcybiskupa gnieźnieńskiego, Baranowskiego, komponował wiele dla kościoła (1620); jest on wydawcą dwóch woluminów pieśni nabożnych. Gdy reformacya postęp w Polsce czynić zaczęła, zwolennicy Kalwina przyjęli do swych pieśni muzykę francuzką. X. Maciéj Rybiński ogłosił wtedy tłumaczenie psalmów Dawida, zastósowane do melodyi dla psalmów Marota. Reformowani czescy przyjęli wiele pieśni i hymnów Rybińskiego, a bracia czescy w Polsce wydali w Szamotułach roku 1535 pracę jego. Za panowania Zygmunta I., zaprowadził X. Zając, przełożony nad kaplicą królewską w Krakowie, za pozwoleniem biskupa Gamrata, chór, aby codziennie podczas mszy ś. śpiewał. Chór ten składał się z proboszcza, 9 wikaryuszów i jednego ucznia: wszyscy biegli byli w muzyce. X. Zając reorganizował chór ten na sposób włoski i tak go wydoskonalił, iż wykonywał bez akompaniowania najtrudniejsze sztuki Palestryny.

Dawszy krótki rys muzyki kościelnéj, zobaczmy, jaki był jéj wpływ na życie wewnętrzne i muzykę narodową. Na pierwszy rzut oka, widzimy, że ulotne sztuki, panegiryki, powinszowania weselne, zajęły miejsce prawdziwéj i dobréj muzyki, a przez to wstrzymały jéj postęp w następnych wiekach. Rodzaj ten muzyki, nazwany w naszych czasach waryacyami, wziął zupełnie górę i szerzył się coraz bardziéj; poeci liryczni, których wielka była liczba, pobierali z wielką pompą czyny swych dobrodziejów i opiekunów, i łączyli się z muzykami, aby ci dodawali ich pracom niejakiego ognia, na którym im zbywało. Pozostały z tych czasów kolendy, pieśni śpiewane od ludu przy drzwiach pałaców panów w czasie Bożego narodzenia i Nowego roku. Mają one charakter zupełnie narodowy, tendencyą zwykle religijną; melodye ich są zawsze prawie wdzięczne i łatwe. W pośród śniegu, podczas mrozów, biegnie gromadka pacholąt od wsi do wsi, wstępuje do chat wieśniaków i odśpiewuje corocznie z zapałem te śpiewy. Najdawniejsze z nich, które nam wieki zachowały są: „Anioł pasterzom mówił." — „W żłobie leży." — „Przybieżeli do Betlehem."

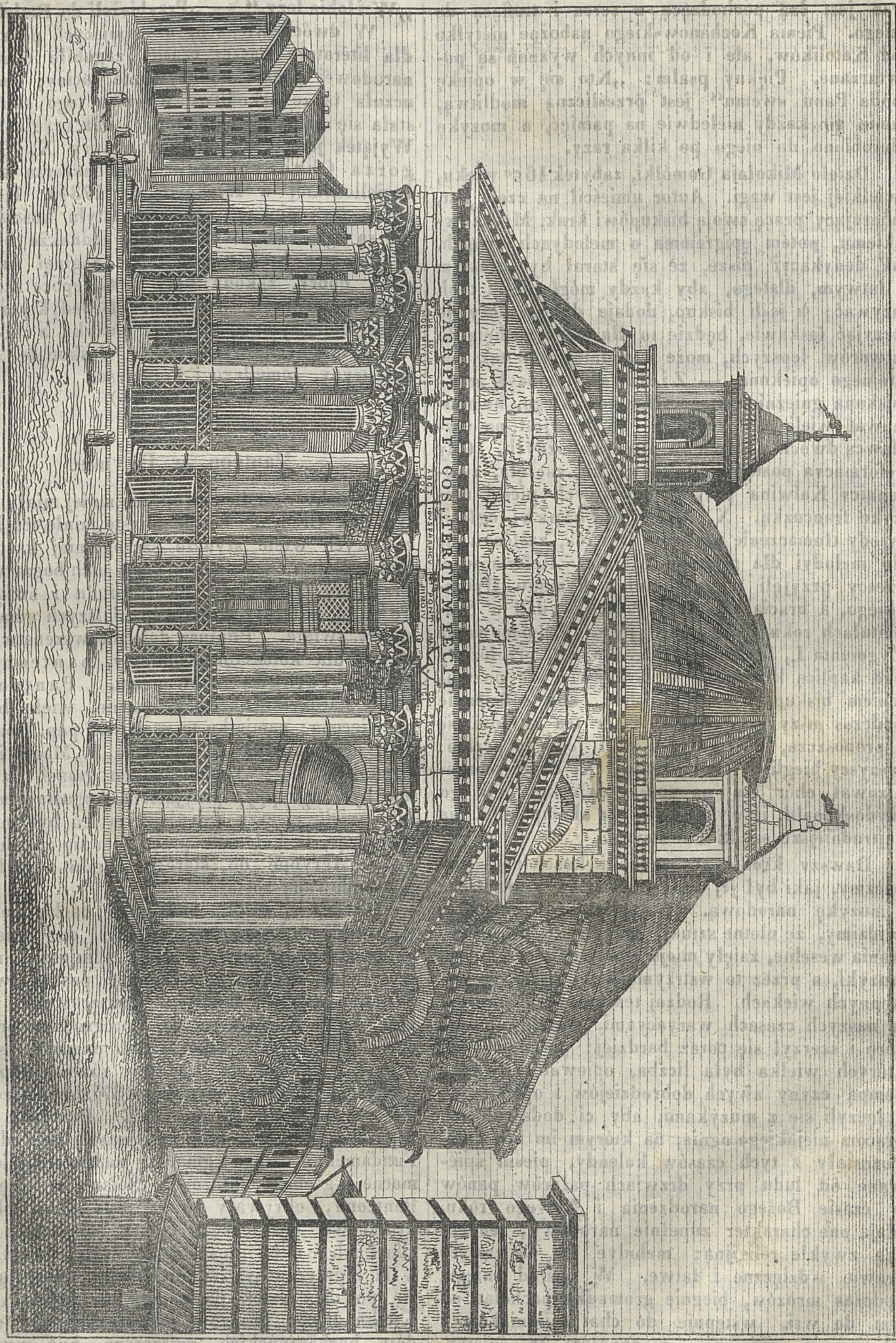
W dwóch wiekach, następujących po złotym dla literatury naszéj czasie, zagubiło charakter narodowéj poezyi nadużywanie łaciny; muzyka uczuła także szkodliwe wpływu tego skutki, i stała się szumną, napuszoną i bez oryginalności. Wyjątek jednakże stanowią utwory X. Grzegorza Gorczyckiego, penitencyarza kaplicy Jagiellońskiéj w Krakowie († 1734). Kompozycye jego piękne, pisane w stylu kościelnym, nie są ogłoszone, wykonywane jednakże bywają w katedrze krakowskiéj. Nie zaginął zupełnie smak dobry, zakony były w téj epoce składem tworów mistrzów włoskich. Benedyktyni byli szczególniejszymi opiekunami muzyki, a chóry po ich świątyniach wykonywały doskonałe dzieła Palestryny, Jomellego i Pergolesa.

(Koniec nastąpi.)

Panteon w Rzymie.

Włochy z stolicą swoją nie mniéj miały świątyń, jak Grecya. Każde miasto miało ich kilka, z których wiele słynęło szczególniéj kształtem budowy, lub znajdującemi się w nich bogactwami. Przybytek Jowisza na Kapitolu i świątynia pokoju, należały do najwspanialszych gmachów stolicy świata. Pliniusz daje pierwszeństwo nad niemi, dla kolossalnéj budowy, panteonowi, zwykle rotundą nazwanemu. Panteonem zwali starożytni każdą świątynię, wielu bogom poświęconą; pamiątkę tę zachował pap. Bonifacy IV., przeznaczając go na cześć P. Maryi i Męczenników śś. Wspaniały ten gmach dziełem ma być Agryppy, przyjaciela Augusta cesarza, lubo wielu pisarzy dawniejszym go być mienią, twierdząc, iż kolonada przed nim się znajdująca, przez Agryppę do starego bogów przybytku przybudowaną została.

Otwór, w środku okrągłego dachu będący, wprowadza dostateczne światło do świątyni. Sklepiony dach miał, podług Pliniusza, niebo wystawiać, a cała budowa mieć postać świata. Wnętrze zdobiło mnóstwo kruszcowych posągów, które Konstantyn do Carogrodu wprowadził; dziś bardzo mało widać pamiątek starożytności. Wysokość budowy równa zupełnie długości; obiedwie wynoszą 137 stóp: średnica otworu w kopule równa 27 s. Posadzka cała z porfiru, w kilku tylko miejscach uszkodzona. Fundamenta całego gmachu nadzwyczajnie są mocne i głęboko założone. Ściany wewnętrzne Panteonu, okrywały przez czas długi blachy kruszcowe, pozłacane: cesarz Konstantyn III. zdarł ich wielką część, resztę wziął pap. Urban VIII i przeznaczył na lanie dział, znajdujących się po dziś dzień na zamku ś. Anioła. Jak wielka liczba posągów podczas napadów narodów barbarzyńskich zniszczoną być musiała, świadczą po dziś dzień około panteonu znajdywane w ziemi ułamki i szczątki; pomiędzy



Panteon w Rzymie.

innemi wykopano mało co uszkodzone dwa lwy z egipskiego marmuru i naczynie w kształcie wazy, z porfiru.

Pokryty przysionek (kolonada), dzieło Agryppy, noszące na czele imię jego, składa się z 16, w dwóch rzędach umieszczonych filarów, z granitu, z jednéj wyrabianych sztuki, oprócz podstawy i kapitelów 37 stóp wysokich, 5 st. średnicy mających, porządku koryntskiego. Za czasów papieża Eugeniusza znaleziono przed tą świątynią, w ziemi, głowę Agryppy z kruszcu, nogę kon'a i kawał koła, równie z kruszcu; są to zapewne szczątki statuy męża tego, przed Panteonem wystawionéj, na wozie tryumfalnym, przez konie ciągnionym.

Herby polskie, podkowę różnokształtnie przedstawiające.

Pojedyńczość herbów polskich sprawia, iż z łatwością możnaby takowe, jako miłą pamiątkę oddalonych wieków, na kilkunastu tablicach zebrać, dzieląc je na klassy, podług przedmiotu, który przedstawiają, przez co kupowaniu drogich, podziśdzień rzadkich dzieł zapobiedzby można. Wyobrażone tu herby, przedstawiają podkowy różnokształtnie za herb używane, których przeszło tysiąc domów używa, lubo z niektóremi odmianami. Sama historya podkowitów nieprzebraném jest źródłem różnych wiadomości historycznych, gdy herbowni dobrą sławą, dobrém mieniem i dawnością celowali. Niektóre herby w oddalonych wiekach przez różne wypadki, jakoto: zasługi, zbrodnie, małżeństwa, odmieniane bywały, a lubo teraz od siebie nieco się różnią, przecie, podług zdań zgadzających się na to herbarzopisarzy i kronikarzy, tego samego są gniazda. Najwięcéj herbów początek swój od herbu Jastrzębiec zabrało.

Somnambulizm zaraźliwy.

Znany już powszechnie somnambulizm naturalny, dawniéj u nas lunatyzmem zwany, nadający ludziom, co nim są dotknięci, drugie, odrębne od zwyczajnego życie, w którym z zamkniętemi ściśle oczyma, widzą, przechadzają się, włażą na najniebezpieczniejsze szczyty, z największą zręcznością wszystkie przebywają zawady; a po przebudzeniu, żadnego o tém jestestwie nie mają przypomnienia.

Znany jest równie, ale mniéj powszechnie, stan tak nazwany magnetyczny, który jest tymże samym somnambulizmem, ale działaniem ludzkiém bądź sprowadzony, bądź utrzymany; w którym te same i większe jeszcze okazują się fenomena; w których uśpiony magnetycznie, podług rozmaitych stopni somnambulizmu, to wnętrze swoje widzi, i przepisuje leki skuteczne, to innych przenika dolegliwości i ich przyczynę: to znowu nadzwyczajne rozwijając zmysły, widzi, co się za ścianą, co się w oddaleniu dzieje, nakoniec (co już wszelkie pojęcie ludzkie przechodzi) przeczuwa niekiedy i jakby widzi naocznie przyszłe zdarzenia.

Po tych wszystkich mnogich już doświadczeniach, ale o których prawdziwości wiele jeszcze osób powątpiewa, wydarzył się przed kilku laty inny jeszcze przypadek, wykazujący nowy gatu-



Herby polskie, podkowę różnokształtnie przedstawiające.

nek somnambulizmu, to jest somnambulizm zaraźliwy.

Wydarzył się ten przypadek 17go Lipca roku 1833 w mieście Clermont en Auvergne. Zdał o tém sprawę przed fakultetem medycznym w Paryżu pan Prosper Lucas 23. Sierpnia tegoż samego roku, w dyssertacyi pod tytułem: de l' Imitation contagieuse. Przedstawianém później było to faktum na zjeździe uczonych w Poitiers 11. Września 1834. Wreszcie ogłoszone zostało w dzienniku Revue du progrés social i w wielu innych pismach peryodycznych paryzkich. My zaś wypisaliśmy je z dziennika bruxelskiego Revue universelle cher Hauman et Comp. Tome V. page 270.

Faktum, które tu przytaczam, miało miejsce w pensyonacie pana Dauteroche i całe miasto Clermont było tego świadkiem. W sprawozdaniach o tym fenomenie przedstawione zostały zgromadzeniom uczonym dwa listy Poddyrektora instytutu, pana Delapierre, pisane, jeden do bliskiego krewnego, drugi do redaktora dziennika le Progrés social, które tu czytelnikom naszym udzielamy.

Pierwszy list pana Delapierre.

Jestem teraz cale niespodzianie na wakacyach, a to z powodu zdarzenia nadzwyczajnego, i prawie nie do pojęcia, którego doświadczyliśmy w naszym instytucie. Wiesz może, że są u nas dwie sypialnie. Jedna na dole, gdzie śpi dyrektor ze starszymi, a druga na piętrze, gdzie ja śpię z tymi, co są pod moim dozorem. W nocy około trzeciéj słyszę jednego z uczniów głośno mówiącego; postrzegam, że jest w stanie somnambulizmu, przemawia do sąsiada, ten mu odpowiada, i do trzeciego przemawia, trzeci do czwartego i t. d. Wkrótce nastaje wrzask niesłychany. Jedni krzyczą, drudzy śpiewają, inni lekcye wczorajsze powtarzają, inni jeszcze przemawiają po angielsku i po niemiecku, inni opowiadają jakieś urojone zdarzenia. Po całogodzinnéj takowéj wrzawie powstawają wszyscy w koszulach, oświadczając, że dość już się uczyli, i że czas już iść na rekreacyą. Rozkazuję im, żeby każden wrócił na swoje miejsce, bo jeszcze nie nadszedł czas rekreacyi. Słuchają mnie i wracają do łóżek, ale tak właśnie, jakby do stolików powracali. Ztym wszystkiem krzyk i wrzawa nie ustają. Daremnie im grożę. Już nie uważają na mnie. Nakoniec, jakby znużeni długą pracą (bo tak im się to wydawało w ich somnambulizmie) i rozgniewani, że im niepozwalam rekreacyi, wstają znowu wszyscy, wpadają na moje łóżko, biją mnie pięściami, rzucają na mnie wodę z dzbanów, a nawet same dzbany. Przemokły do nitki, wyskakuję z posłania, porywam jednego po drugim, przykładając im rękę na twarz, ale podczas gdy jednego budzę, inni rzucają się na mnie z pięściami. Co najdziwniejsza, ci, których już byłem obudził, w kilka minut późniéj w te same wpadali dziwactwa. Cała nakoniec sypialnia wydaje się jak istotny dom waryatów. Jedni przewracają się nogami do góry na łóżkach, drudzy rozciągają się na podłodze, jakby po wodzie pływali, inni siadają na poduszkach, jakby byli na lekcyi. Nadchodzi godzina wstawania. Rozkazuję chłopcom, żeby się ubierali. Dopełniają rozkazu, ubierają się porządnie, ale jak przez cały czas, z zamkniętemi oczami. W naturalnym stanie zwykli wszyscy razem, hurmem, na wschody wybiegać. Teraz widzę ich pojedyńczo, i każdego w inny sposób schodzących. Skoro już są na dziedzińcu, zaczynają skakać, pędzić jeden za drugim, niektórzy zaczajają się, aby mnie znienacka uderzyć, a wszystko z zamkniętemi oczyma. Dyrektor instytutu słysząc ze swojego pokoju wrzawę na dziedzińcu, otwiera okno i wychyla się na dwór, ale wcale nie zdaje się zdziwiony z tego wszystkiego, co widzi. Owszem powiększa jeszcze moje zadziwienie, opowiadając mi, że uczniowie jego inspekcyi od dziesiątéj w wieczór już są w tym stanie, że on i brat jego xiądz Dauteroche okropną noc przeżyli, że cały czas biegali za nimi, chcąc ich przebudzić, że nic nie skutkowały uderzenia ręką, ani nawet kijem, i że tak, jak ja, popuścił im wodze.

Łączą się nakoniec obu sypialni uczniowie, na jednymże dziedzińcu, i natychmiast tysiączne wyrabiają szaleństwa. Tu znowu uważaliśmy, że z pomiędzy tych, co niebyli szałem zarażeni, gdy niektórzy usiłują wstrzymać kolegów, sami w ten dziwaczny stan wpadają. Już właśnie biła godzina szósta. Przybywa jak zwyczajnie professor matematyki. Osłupiały na to wszystko, co widzi, strach go obejmuje, jak w obec waryatów. Sprowadzają doktora, ale i ten niemoże natrafić na sposób zwrócenia chłopców do zdrowych zmysłów. Gdy już zmęczeni ich dozorowaniem, mniéj ściśle na nich uważamy; niektórzy z nich włażą na dach i na samym brzegu chodzić zaczynają. Nowa nas obawa i niespokojność ogarnia. W końcu jednak i z wielką przezornością udaje się nam sprowadzić zbiegłych naszych bez szwanku aż na dziedziniec. O siódméj rano jeszcze trwa ta scena, ale przynajmniéj uczniowie zdają się już spokojniejsi. Sadowimy ich na schodach przed dwoma wielkiemi wrotami. Tu się zaczął inny widok i daleko jeszcze dziwniejszy. Zagadywali chłopców z historyi, fizyki, matematyki, i odpowiadali na to daleko lepiéj, niż kiedykolwiek na ławach szkolnych. Niektórzy zaczęli rysować na piasku figury geometryczne. Dano im papier i ołówki; umieli ich użyć jak najlepiéj, mimo zamkniętych oczu, i rysowali głowy, landszafty i t. d. Dano im xiązki; nietylko je czytali głośno przed sobą, ale za sobą i gdziekolwiek je otworzyli. Xiądz Dauteroche, który cokolwiek znał teoryą somnambulizmu, robi im dla próby niektóre zapytania o rzeczach, których w żaden sposób znać nie mogli.

I tak zagadnął jednego: „Mój kochany," rzekł, „udaj się w myśli do Paryża, idź na ulicę N., „stań przed domem X., i powiedz mi jaki tam „numer nad wrotami? jaki jest skład dziedzińca? „co widzisz w oknach? co wystawia obraz w ka„plicy, w któréj zwykłem spowiadać?" Chłopiec odpowiada doskonale na wszystkie zapytania, a jednak nigdy nie był w Paryżu.

Inne uczniom czyniemy zapytania w tym gatunku o dalekich i im nieznajomych rzeczach, i na wszystko z łatwością odpowiadają. Kilku między nimi wiersze improwizują. Ten stan rzeczy przeciąga się aż do dziewiątéj. Doktor oświadcza nakoniec, że ten somnambulizm nie może pochodzić tylko z nadto wielkiego natężenia w naukach, że radzi odesłać uczniów na dni kilka do rodziców, i niech tam używają obficie kąpieli i zabaw. Gdy już się na to zdecydowaliśmy, rozkazujemy uczniom wrócić się do ich sypialni, dla wdziania mundurów. Idą spokojnie, ubierają się w mundury jak najporządniéj, zawsze z zamkniętemi oczyma. Poleceni są potém różnym osobom z miasta przybyłym, aby każdego z osobna pod ręką odprowadzili do mieszkania rodziców lub opiekunów.

Skoro przybywają do rodzin, wielkie tych zadziwienie, gdy im tłumaczą powód takowego odesłania. Sami chłopcy już nakoniec obudzeni z somnambulizmu, dziwią się niezmiernie, że już nie są w instytucie. Gdy im opowiadają przyczynę, niechcą temu wierzyć, bo niczego nie pamiętają. Czują się tylko bardzo znużeni, i spać się kładą.

Całe prawie miasto Clermont było świadkiem tego zdarzenia. Bardzo wiele osób nie wierzących w somnambulizm mniemali, że to tylko było udaniem ze strony uczniów, aby się pozbyć lekcyi. Dzisiaj i ci już inaczéj są przekonani.

Redaktor dziennika le Progrès social chcąc mieć nowsze jeszcze wyszczególnienia o tak dziwném wydarzeniu, w rok późniéj, to jest w Sierpniu 1834, pisał do pana Delapierre, przeniesionego już natenczas do pensyonatu pana Massoneau w Montreuil, blisko Paryża, i następującą otrzymał odpowiedź:

Mości panie!

Chętnie bardzo odpowiadam na pytanie, które mnie pan zadajesz, tyczące się doświadczenia somnambulicznego, którego przed trzynastu miesięcy świadkiem byłem w Clermont, i życzę z całego serca, aby udzielone przezemnie szczegóły mogły przyczynić się do wyświecenia fenomenu, który zapewne roztrząsanym zostanie w zgromadzeniu uczonych w Poitiers.

W dowód dokładności z mojéj strony, powtarzam tu pańskie zapytania z przyłączeniem odpowiedzi:

1. Jaka była liczba uczniów?

Odpowiedź: Dwadzieścia ośm.

2. Wielu z nich wpadło w somnambulizm?

Odp. Szesnastu. Ale nie od razu, tylko jeden po drugim, i jakby zarażeni.

3. Jaki był wiek uczniów?

Odp. Najwięcéj od ośmiu do dwunastu lat, a niektórzy do siedmnastu. Ważną jest jednak uwaga, że najstarsi nie wpadli w somnambulizm.

4. Uczniowie czy żyli zgodnie między sobą?

Odp. Byli między sobą, jak mówią po szkołach, dobrymi kolegami.

5. Czy nie okazała się późniéj przyczyna, któraby takie wydarzenie spowodować mogła?

Odp. Nic się nie okazało.

Dodam tu jeszcze, że widziałem niektórych uczniów, budzących się, skoro na wolne powietrze wychodzili. Innych budziliśmy, podnosząc im powieki, albo rzucając im wodę w twarz, ale zawsze w téj chwili gniew ich wielki porywał. Najskuteczniejszy jednak sposób do wydobycia ich ze stanu uśpienia, było ściśnienie żył na karku. Może to doświadczenie posłużyć do nowych odkryć, stósownie do teoryi systemu nerwowego. Delapierre.

Ten opis oczywistego świadka, wsparty przytomnością wielu innych osób; to potwierdzenie zeznania w rok po zdarzeniu, gdy mniemanie publiczne większéj już w tym względzie nabrało pewności; godne są zaiste uwagi wszelkich natury badaczów. S. P..r.

Nowe dzieła polskie.

„Poezye Alexandra Grozy, w Wilnie u Zawadzkiego roku 1836."

Tygodnik petersburski mówi o nich w ten sposób: „Od czasu, jak się ukazały poezye Mickiewicza, tytuł ten, który on swym następcom w puściźnie zostawił, tak często był nadużywany, iż ledwo w języku naszym przeciwnego nie nabrał znaczenia. Ale tą razą nie zawiedzie on oczekiwania; czytelnik pod nim znajdzie poezyę prawdziwą, poezyę serca, w nadobnéj formie łatwego umiejętnego wysłowienia. Zbiorek, o którym mówimy, nie liczny jest: są to pierwsze na świat wychodzące utwory p. Grozy; pozwalamy sobie wynurzyć nadzieję, że nie będzie ostatnim, jakkolwiek wiemy, że prosić poetę, aby pisał, jest jedno, co prosić słowika, aby śpiewał. Celniéjszym, co do rozciągłości, płodem zbioru, jest powieść: „Pan starosta Kaniowski," dobrze osnuta i pięknie opowiedziana, odznaczona kolorytem miejscowym."

Obszerniejszy rozbiór tego dziełka i nader pochlebne zdanie o tym nowym i znakomitym poecie, znajdzie czytelnik w Pamiętniku krakowskim, rok 1827. Nr 28i.

Poezye Seweryna Grozy. Wilno 1837. Tom 1, 2.
Poezye Michała Jezierskiego. Wilno 1837. Tom 1.
Poezye Konstan. Piotrowskiego; w Berdyczowie 1837. T. 1.
Poezye trzech braci Grzymałowskich, Biało-Rusinów, w Petersburgu 1837.
Tom Iwszy zawiera poezye Waleryana.
Tom IIgi zawiera poezye Klemensa.

Tom IIci zawiera poezye Juliana.
Poezye Ignacego S. Sławeckiego. Lwów 1837.
Pisma autora Jana ze Swisłoczy. Wilno 1837. *T.* 2.
Koliszczyzna i stepy, powieść przez Edwarda Tarsze. Wilno 1837.

Klechdy.

Starożytne podania i powieści ludu polskiego i Rusi, zebrał i spisał Kazimierz Władysław Wojcicki, Tom 2., *w Warszawie* 1837.

Ze Lwowa

„*Śmierć Wallensztajna.* Poemat dramatyczny Fryderyka Szillera, przekładania J. N. Kamińskiego, opuścił prassę w drukarni Piotra Pillera.“ — Staraniom J. Milikowskiego, księg. lw., wyszło w Lipsku czwarte wydanie Maryi Malczewskiego, poprawne mało znanemi dotąd jego płodami wierszem i prozą, oraz dokumentami, wyjaśniającemi zdarzenie, jakie autor obrał za treść swego poematu.

Kilka słów o ważności, potrzebie i użytku gymnastyki, napisał Ludwik Bierkowski. Kraków w drukarni Stanisława Gieszkowskiego, 1837.
Dzieje starego i nowego testamentu, czyli wybór przykładów i nauk z pisma ś. według wydania J. Derome, ułożone pr. K. Brodzińskiego w 2 *tomach, z* 120 *rycinami, in* 8*vo. Warszawa* 1837 *złp.* 36.
Mały Henryś, powieść moralna, przełożona z niemieckiego pr. pewną Polkę; wydanie 3*cie ozdobione rycinkami, pomnożone nową powieścią p. t. tryumf wzniosłego ucznia, z francuzkiego* 12*mo. Warszawa* 1838 *złp.* 4
Moje więzienia, pamiętniki Sylwiusza Pellico a Saluzo, z przypisami Piotra Maroncelli, tłumaczył F. Tustanowski. 8*vo.* 2 *tomy. Wilno* 1837 *złp.* 11.
Upominek ojca z podróży dla własnych przyjaciół i córek, tudzież dla rodziców o edukacyi tychże pr. M. Witwickiego, autora pszczólnictwa; w 2 *tom. in* 8*vo. Petersburg* 1836. *złp.* 11.
Powięść Jadama. Kraków. 1838 *Tom* 2.
Poezye Józefa Bogdana Zaleskiego, w Pradze czeskiéj u Spurnego 1838.
Rys fenomenologii ducha skreślił Józef Kramer, Kraków 1837.
Niezapominajki, Noworocznik Warszawski na rok 1838 *pr. Karóla Borwela.*
Pierwiosnek, Noworocznik w Warszawie 1838.
Leibe i Siora, romans prz. J. U. N. Kraków 1838.

Wystawa obrazów w Poznaniu.

(Ciąg dalszy.)

Cokolwiek w obrębie owczesnéj angielskiéj wyobraźni zmieścić się mogło, wyczerpnął i skreślił: żyjąc w moralizującym XVIII wieku, on także moralności przepisy zręcznym zakreślał ołówkiem i wszystkie słabości, niedorzeczności społeczeństwa, nielitościwie wyszydził na płótnie i Szerydena trafnemi żarty przewyższył. Jego truppa komedyantów w stodole, wiecznie pozostanie najbogatszym i najwytworniejszym płodem dowcipu i humoru, Anglikom właściwego. Atoli nas już Hogarth zadowolnić nie zdoła; bo dzieła jego w innym czasie, u innego ludu stworzone, nie wskazują téj żywéj i fantastycznéj wyobraźni, jaką dziś w sztukach pięknych uwielbiamy. Wieszcze to germanscy, angielscy, oraz francuzcy i nasi romantyczni zagłuszyli tych poetów XVIII wieku, prawidła moralne, bez zapału każących, zasunęły zasłonę na owe zimne obrazy, odbicia chwil spółczesnych, i wszystko nowém natchnęli życiem. Hogarth więc niemógł się był urodzić po Byronie, a dziś urodzony, wcale byłby inaczéj malował. Sztuka stała się dzisiaj surowszą: wstąpił w nią duch namysłu, duch poniekąd religijny, i już się stała niezdolną do podrzeźniania i żartkowania, na kształt epoki poprzedniéj. Owionęło ją przytém nie wiem jakiś uczucie i wzbudziło cześć ku czasom dawno ubiegłym. Z tych to żywiołów powstał gieniusz Schrötera; lekki i trafny, surowy, namiętny i prawdziwy, zasługuje on na szczególną naukę, jako najdziwniejsze zjawisko szkoły dysseldorfskiéj, zjawisko poważnéj ironii wśród grona wierzących.

Obok Schrötera zawieszony był inny obraz: „kramarz spóźniony w odjeździe.“ Nie pamiętam autora, zapewnie ucznia p. Pislomego. Wystawił on w nim całą nieudatność i śmieszność miejskiego zasiedziciela, nagle wyzwanego z domowéj swéj spokojności, aby się na kilkamilową puścić przechadzkę, i ogromną pracę owéj tak spokojnéj wyobraźni nad zabezpieczeniem drogiéj swéj otyłéj osoby od wszelkich szkód i szwanków, jakie ją spotkać mogły w podróży: nagromadzone magazyny żywności, sukni, kapeluszy, parasolów, śmiesznym go sprawują, a niemniéj i to roztargnienie, że kapelusz i chusteczki żony, zabrał zamiast własnych. i pocóż tyle mu było zachodów, kiedy poczta tak szybko odjeżdża, że on ją daremnie ściga. Lecz ileż to przysady w tym obrazie! jak wszystko wymuszone i nienaturalne; jednę śmieszność tyłą rzeczy napchano, jednak rozmaitości tak mało. Ileżby to był wyczerpnął dowcip Hogartha z podobnego przedmiotu, ileżby wesołych w nim nie natworzył szczegółów i nowych śmieszności powodów. Na tém też poniekąd wyższość talentu się zasadza, aby w jednym obrębie jak najwięcéj wyczerpać, lub skupić bogactwa. Hasenclevera szkołę tanca policzyć należy między dziełami rzeczonego rodzaju.

Zajęła mnie Ungera kopia Dennerowéj głowy starca; kopia ta, acz blada i nieśmiała, wiernością się swoją zaleca; nie na mało się wprawdzie odważył naśladowca Dennera. Któżby z nim zdołał iść w zawody? Któż, jak on, podchwycił wszystkie tajniki twarzy ludzkiéj. Nigdy nie zapomnę mocnego wrażenia, jakie na mnie sprawił pierwszy raz ujrzany starzec Dennera; nie ufałem oczom, dotykaniu: kilkakroć się oddalałem i zbliżałem niewierny, wątpiąc, aby malarz mógł tak doskonale, tak szczegółowo, ludzkie oblicze przelać na płótno. Taka prawda, takie zwierciedlenie, może więcéj jeszcze przestrasza, niż zadowolnia, i wskazuje, dokąd sztuka posunąć się zdoła, lecz gdzie już mało ma ponęty; dla tego też Denner starce tylko malować polubił, bo nad nimi jedynie mógł mozolnym bawić się pendzlem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. *(Red. Ciechański.)*